

Biznes w eurokołchozie cz. II

W poprzednim felietonie opisaliśmy jakie ogólnie reguły rządzą polską rzeczywistością związaną z prowadzeniem działalności biznesowej.

Dzisiaj opowiemy Państwu historię która wydarzyła się naprawdę a jej fabuła mieści się w kategoriach powieści fantasy.

W pięknym mieście Łodzi, na precudnej urody dzielnicy Polesie mieści się firma, dla potrzeb tekstu nazwijmy ją X, w celu zmylenia ewentualnych pogoni i osób chcących wykorzystać sytuację w niecnym celu. Firma ta jest zarejestrowana, ma swoją oznakowaną siedzibę i grzecznie płaci podatki w Urzędzie Skarbowym Łódź – Polesie, które urząd następnie przekazuje do budżetu centralnego. Jak pamiętamy z poprzedniego felietonu budżet jest cacy, a nasza firma dzielnie wspiera budżet, bo obroty ma jak się patrzy więc i podatki odprowadza wcale niemałe. I wszystko byłoby super, w tym miejscu można by było zakończyć temat, gdyby firmie nie zachciało się prowadzić handlu na większą skalę niż okoliczne wioski i miasteczka.

Otóż szefom firmy wymarzyło się handlować z zagranicą. I tu popełnili kardynałny błąd. Należało poprzestać na handelku wewnątrz naszego wspaniałego kraju i byłoby OK; a nie rozwijać się, poszukiwać nowych rynków, klientów itp. itd. etc. Przecież to niezdrowe, niehigieniczne a także potencjalnie szkodliwe działanie (w mniemaniu co niektórych polityków i urzędników). Rozwój firm i biznesu chyba nie leży w interesie państwa – przynajmniej taki wniosek można wysnuć po obserwacji działań urzędników urzędów skarbowych. Mianowicie nasza firma wykorzystując współczesne narzędzia marketingowe poczęła nawiązywać kontakty poza granicami Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Ponieważ szefowie firmy nie w ciemę bici potrafią zrobić biznes, zagraniczni partnerzy szybko docenili zarówno jakość usług jak i rzetelność polskiego kontrahenta. Na nieszczęście naszej firmy kontakty te zaczęły przeradzać

się w kontrakty, a te w strumień pieniążków, gładko sunących na konta firmy, ale również do budżetu centralnego (budżet jest cacy) w postaci podatków. I cóż teraz robi nasz ukochany fiskus. Zamiast pieścić i dogadzać firemce, która tak dzielnie walczy o zwiększanie budżetu (cacy), tak by ten stan trwał wiecznie fiskusik zaczął powolutku podcinać gałąź na której firma X sobie przysiadła.

Przecież jak w poprzednim felietonie wspomnieliśmy naszym narodowym sportem jest specjalizacja w dziedzinie „Jak zaszkodzić bliźniemu”. Zaczęły się nie tylko kontrole, naloty, grzebanie w dokumentacji. To szefowie firmy pewnie by przeżyli. Paradoksem w sprawie jest fakt, iż urzędnicy (celni tym razem) zaczęli doszukiwać się nieprawidłowości przy wywozie towaru za granicę RP. Zagraniczni kontrahenci zamawiając towar w firmie X zamawiali również transport, z reguły u polskiego spedytora. W dokumentacji wszystko było OK, listy przewozowe CMR, zlecenia na przewozy itp. Również pokwitowania odbioru towaru były w porządku. Urzędnicy twierdzili jednak coś innego. W ich mniemaniu firma dopuszczała się niecnego procederu więc trzeba napuścić na nią wszystkie siły zła. Zaczęły się śledztwa międzynarodowe, prośby o pomoce prawne itp.

Większość zagranicznych instytucji była zdziwiona postępowaniem polskich organów celnych, które ścigały polską firmę z to że eksportowała towar poza granice swojego kraju. Podstawowym wnioskiem w sprawie był zarzut urzędników celnych, że firmy kupujące towar od firmy X są fikcyjne i nie odprowadzają podatku w swoich krajach. A co u diaska to ma obchodzić polską firmę albo polski urząd, że firma Y kupująca od firmy X np. skarpetki nie odprowadza z tego tytułu podatku do skarbu państwa dajmy na to np. Wenezueli (nie obrażając obywateli wenezuelskich ani tegoż państwa).

Przecież to jest przedmiot działania tamtejszych organów państwowych, a nie angażowania się polskich urzędników. Ale niestety, rzeczywistość eurokołchozu dopada nas na każdym

kroku. Co więcej, fiskus dopatrując się Bóg wie jakich nadużyć powoduje wstrzymanie zwrotu firmie X należnego podatku VAT do czasu zakończenia postępowań sprawdzających (czyli tak naprawdę np. do końca świata i jeden dzień dłużej jak mawia Pan J.Owsiak). I co teraz firma X ma począć, ma udowodniać że nie jest wielbłądem albo że żaba ma sierść? Nie dość że traci kontrahentów, traci pieniądze (nie wpływają zwroty VATu) i traci jeszcze jedną rzecz, na którą pracuje się latami. Traci wizerunek, którego już często nie można odbudować. Znamy przecież sprawy przedsiębiorców plajtujących po decyzjach organów podatkowych, które okazywały się niewłaściwe. Rzadko zdarza się aby taki przedsiębiorca podniósł się i odbudował swoją markę.

Niestety, albo -stety nasza firma robi to, co często robi większość naszych rodaków w takiej sytuacji, czyli bierze sprawy w swoje ręce. Tu drodzy czytelnicy proszę się nie śmiać, ale rzeczywiście firma X rozpoczyna swoje własne śledztwa poza granicami kraju, żeby udowodnić, że towar, który wysłała de facto trafił poza granice RP. Oczywiście wiąza się z tym koszty i czas, ale w takiej sytuacji wyłącznie sami sobie możemy pomóc. Często wynikiem takiego śledztwa jest ustalenie, że firma kontrahenta faktycznie jest nierzetelna i tych należnych podatków swojemu państwu nie płaci. Wtedy nasi bohaterowie zgodnie z sumieniem, prawem międzynarodowym i czym tam jeszcze wysyłają zawiadomienie do organów ścigania danego państwa. I cóż te organy robią? Otóż drodzy Państwo oni umarzają sprawę.

Wychodzi na to, że nasze państwo jest bardziej zainteresowane ściganiem (nawet za granicą) własnych przedsiębiorców i dbaniem o interesy innych państw, niż rozwijaniem własnego podwórka gospodarczego i zapewnianiem mu stabilizacji. Ale tak właśnie prowadzi się biznes w eurokołchozie...

W następnym felietonie – walka z fiskusem o to żeby zabrał należne mu podatki (bo nie chce wziąć i już).

Autor: Jacek Owczarek

Publikacja: Prawo na Lewo z dnia 07.04.2014